

Wojna puka nam do drzwi

Wspomnienia wojenne Janiny Sylwerskiej,
ur. 12 czerwca 1930 roku w Cząpienicy gm. Szczutowo, powiat Rypin.

To był całkiem ładny dzień. Przynajmniej taki się zapowiadał. Po szkole graliśmy w piłkę na boisku, wracałam do domu przez pola dosyć zmęczona. Usiadłam na ławce przed domem. Cienką igłą nastawiłam radio w kształcie kostki. To, co wtedy usłyszałam, przerwało nasz spokój na najbliższe sześć lat. A tak naprawdę na całe nasze życie...

Szkoła była w Czumsku Dużym, kilometr od mojego domu w Skudzawach. Pogoda była ładna, wiał lekki wiatr, nad polną drogą unosiły się kłęby pyłu. W oddali zobaczyłam ojca orającego w polu, pomachał do mnie radośnie i wrócił do pracy. Wszędzie panował spokój. O tej porze cała wieś oddawała się codziennym obowiązkom.

Początek i koniec

W ósmym dniu wojny niemieccy żołnierze wkroczyli na teren Skrwilna i jego okolic. Nastąpił okrutny, 6-letni okres mordów, gwałtów i prześladowań miejscowej ludności. Także w skrwileńskich lasach, gdzie hitlerowcy upatryli sobie położone na uboczu miejsce – idealne do dokonywania masowych zbrodni. Dokonywał się tam jeden z dramatów społeczeństwa polskiego.



Janina Sylwerska (pierwsza od lewej) z siostrami

Nazywam się Janina Sylwerska, urodziłam się 12 czerwca 1930 roku w Cząpienicy (powiat rypiński, województwo kujawsko-pomorskie), kiedy wybuchła II Wojna Światowa miałam dziewięć lat. Rodzice mieli gospodarstwo rolne o powierzchni sześciu hektarów. Ojciec spędził 15 lat w rosyjskim wojsku, grał w orkiestrze i uczył muzyki, mimo to zajmował się też naszym gospodarstwem. Był człowiekiem niezwykle pracowitym, bardzo przeżył przymusową służbę w Rosji, chciał żebyśmy byli patriotami i rzeczywiście udało mu się zaszcześcić w nas ogromną miłość do Polski. Mama zajmowała się domem, urodziła siódmką dzieci, świetnie gotowała i szyła kostiumy na zamówienie. Zawsze wierzyła w zwycięstwo Polski.

Kiedy usłyszała z moich ust słowa „Wojna! Wojna!”, zamarła, przysiadła na stołku, zebrała myśli i kazała mi biec po tatę. Natychmiast przybiegł do domu i

razem z mamą słuchali długo radia. Wtedy jeszcze nie za bardzo rozumiałam to, czym jest wojna, byłam zbyt mała. Wiedziałam tylko, że na wojnie zabija się ludzi, nie chciałam, żeby spotkało to kogoś z nas. Tego dnia mama nie dokończyła obiadu, ręce jej drżały, a tata mówił, że pewnie wezmą go i Mietka – mojego najstarszego brata. Miała rację, bo wkrótce tak się stało.

Przyjechali po nich na początku 1940 roku, baliśmy się, że więcej ich nie zobaczymy. Los okazał się łaskawy, bo zabrali ich do oddalonej o 35 kilometrów Brodnicy, do pracy przy okopach. Ja, Zosia i Edek zostaliśmy sami z mamą.

Niemcy robili łapanki, obstawiali dom dookoła, żeby nikt nie mógł uciec. Tak złapali moją starszą siostrę Jadzię – chciała uciec przez okno, ale pod oknem też stali. Bardzo ją wtedy skopali, miała obite nerki, jakoś z tego wyszła. Zawieźli ją do Szczutowa, gdzie Niemcy spośród wyłapanych kobiet wybierali sobie służbę do gospodarstw. Wywieźli ją w głąb Niemiec, trafiła do Bauera i jego żony. Opiekowała się ich córką, zajmowała się domem, szyła, prała i gotowała, za nic jej nie płacili. Pozwolili za to wysłać listy i przyjechać raz na urlop. Mówiła, że dobrze ją traktują. Wróciła dopiero po wojnie.



Siostra Jadwiga

Gorzej było z Genią – najstarszą siostrą. Kiedy wywieźli ją kilka miesięcy po rozpoczęciu wojny, nie dostaliśmy od niej żadnego znaku życia. Mama zrobiła się wtedy przewrażliwiona, bardzo się sprawą Geni przejmowała, bo przez sześć lat nie wiedzieliśmy, czy w ogóle żyje. W 1945 r. dowiedzieliśmy się, że przez jakiś czas pracowała w Marienwerder (dziś Kwidzyn). Kiedy Niemcy przegrali wojnę, pojechaliśmy z tatą jej szukać. Chodziliśmy od domu do domu, większość była opuszczona, a w środku czuć było zapach gnijących ludzkich ciał. Pewnego dnia siedziałam w oknie na parapecie i zobaczyłam, że ktoś jedzie w naszym kierunku na rowerze. To była sklepowa. Jechała, krzycząc „Otwierajcie bramę, wiozę wam dobrą nowinę!”. Przywiozła list od Geni, że żyje i będzie wracać. Dopiero wtedy odetchnęliśmy z ulgą, mimo że wojna skończyła się rok wcześniej, dla nas skończyła się dopiero wraz z listem od Geni.

Nazywam się...

Karol Waz, Władysław Szyłman, Albert Nichel, Śliskie, Gramze, Makiel – morderców było wielu. Najbardziej masowe mordy odbywały się w pierwszych miesiącach okupacji, kiedy to w okolicach Skrwilna działała okryta ponurą sławą bandycka formacja – Selbstschutz. Egzekucji dokonywano nawet kilka razy dziennie. Informacje o dokonywanych mordach podawali świadkowie różnych zdarzeń i faktów.

Pamiętam jeszcze Szylera i Hejnę. Nas wszystkich, nawet dzieci zabierano do roboty na pole. Codziennie bladym świtem chodziłam pieszo 10 km do Sosnowa. Dzieci kopały jedną redlinę, a dorośli dwie. Kopaliśmy wycieńczeni i głodni aż do zmroku. Za plecami stali nadzorcy, jak ktoś ominął jakiegoś ziemniaka to dostawał po plecach. Dzieci jeden raz kijem, dorośli dwa razy. Cały czas pamiętam ton ich głosu, gdy krzyczeli na nas „Schnell! Schnell!”, a my przecież nie mieliśmy siły, by pracować jeszcze szybciej.



Po prawej – Laura Tesmer

Latem pasłam krowy u Tesmerów. Mieszkali obok nas – zajmując gospodarstwo przesiedlonych sąsiadów. Podczas pracy poznałam Laurę Tesmer – ich córkę. Była w moim wieku i szybko się zaprzyjaźniłyśmy. Jako dzieci nie czułyśmy podziałów ze względu na pochodzenie, bardzo się zżyłyśmy. Pokłóciłyśmy się jeden jedyny raz, kiedy trochę na żarty powiedziałam do niej, że: „Niemcy są tak chytry, że nawet z gówna bat ukręca”. To ją trochę uraziło, bo bądź, co bądź była Niemką. Mój ojciec woził ją codziennie do niemieckiej szkoły w Szczutowie, czekał tam aż skończyła lekcje i przywoził z powrotem. Tesmer chciał, żebym też chodziła do tej szkoły. Pamiętam, że tata bardzo się zdenerwował, kiedy padła ta propozycja. Krzyczał, że nie będę się uczyć od Niemców, nie chciał dopuścić, by jego dzieci poddano germanizacji. Miałam do niego o to trochę żalu, bo chciałam się uczyć. Po wojnie ze strachu nie umiałam się nawet podpisać.

Krew i woda

Niemieccy zbrodniarze mordowali w Rypinie, a do skrwileńskich lasów przywozili trupy i zakopywali je w wielkich dołach. Gdy przejeżdżały samochody, często spodem ściekała krew. Bywało i tak, że Niemcy wioząc kolejny transport, zatrzymywali się przed posterunkiem żandarmerii w Skrwilnie i stąd dopiero wyjeżdżali do lasu. Na placu, gdzie stały samochody, pozostawały krwawe ślady, które potem zasypywano piaskiem.

Nie wszyscy Niemcy byli źli. Tesmer lubił Polaków, nie chciał, by działa nam się krzywda, zawsze ostrzegał tatę przed planami Niemców zasłyszonymi w sztabie. Raz przyszedł i powiedział, że dziś podczas spotkania Niemcy mówili, że z Polaków zostanie tylko krew i woda, chcieli „oczyścić” z nas okolicę. Było to pod koniec wojny i na szczęście nie zdążyli tego pomysłu zrealizować. Niemcy początkowo starali się ukrywać swoje przestępstwa. Z kolejnymi transportami przyjeżdżali do lasu innymi drogami, omijając Skrwilno. Potem coraz częściej robili to jawnie i z premedytacją.





Siostra Zofia

Zosię zmuszano do wyjątkowo okropnej pracy. Chodziła do lasu rozbierać trupy i prać ich zakrwawione ubrania. Nic nie mogło się zmarnować. Układano stopy ubrań, butów, biżuterii – wszystko do ponownego użytku. Zosia wracała do domu i płakała, cały czas myła ręce, nawet jak były już całkowicie czyste.

Miejscową ludność wykorzystywano jak się dało. Musieliśmy oddawać kury, kaczki, jajka, mleko – wszystko, na co akurat żołnierze mieli

ochotę. Mi przypadło noszenie tych pakunków do siedziby sztabu w nadleśnictwie. Szłam sama przez las, słyszałam szczekanie psów, kiedy wprowadzono mnie do środka, psy rzuciły się na mnie, żołnierz je odciągnął. Za noszenie żywności do siedziby dostawałam 50 feningów, za tą kwotę można było kupić, co najwyżej bułkę.

Rodzinę Tesmerów po wojnie spotkał tragiczny los. Tesmer i jego żona zostali wywiezieni w głąb Rosji. On sam nie przeżył nawet podróży, a jego żona musiała pracować dla jakichś Rusków. Miejsca się zamieniły – teraz ona usługiwała innym, nie była do tego przyzwyczajona. Najbardziej jednak poruszyło mnie to, co spotkało Laurę. Rozdzielono ją z rodzicami i zgwałcono, gdy miała tylko 14 lat. Przygarnęła ją Pani Braciszewska z Rypina. Po kilku latach wróciła po nią matka. O ich losach dowiedziałam się wiele lat po wojnie, tuż przed śmiercią Braciszewskiej. Napisałam wtedy list do Laury. Nie dostałam żadnej odpowiedzi.

Szczęście w nieszczęściu

W listopadzie 1939 roku przywieziono z Bydgoszczy do Skrwilna odkrytą ciężarówką około 30 polskich harcerzy. Byli to 16-17-letni chłopcy ubrani w harcerskie mundurki. Mieszkańcy Skrwilna patrzyli z przerażeniem i współczuciem na nieświadomych swego losu chłopców. Niektórym udało się zamienić z nimi kilka słów, podczas gdy niemieccy żandarmi z konwoju pytali o drogę, gdy ciężarówka zatrzymała się na skrzyżowaniu dróg wiodących do Szczawna, Bieżunia i Sierpca. Chłopcy mówili, że jadą „na roboty”. Niestety, to była ich ostatnia w życiu podróż. Niedługo potem po lesie przetoczył się grzmot egzekucyjnej salwy. Samochód wracał przez Skrwilno pusty. Pod koniec wojny hitlerowcy starali się szybko zacierać ślady swoich zbrodni. Ale udało się to im tylko częściowo. Wykopywano zwłoki i palono na stosach. Palenie odbywało się dniem i nocą. Gdzie rów był dość głęboki, prochy pozostawiano na dnie i zasypywano piaskiem. Nie wszystkie ciała spopielił ogień. Po wojnie odkryto siedem masowych grobów zamordowanych. Jeden wielki, w kształcie litery L, o długości 40 i szerokości 2,72 metra, oraz sześć nieco mniejszych. W latach 1939-1945 liczba obywateli polskich pomordowanych w rejonie Skrwilna wyniosła ok. kilku tysięcy osób.

Niemcy strzelali do przypadkowych ludzi, ciała zakopywali w lasach. Gdy idąc drogą, słyszałam strzały, to wiedziałam, że ktoś ginie i bałam się, że to ktoś z mojej rodziny. Raz okazało się, że zabili moją ciocię. Wyciągnęli ją przed dom, wybiegły za nią jej dwie córeczki, kazali jej stanąć nad rowem i zabili na oczach jej dzieci. Zginęła za przechowywanie partyzantów – wydał ją jej sąsiad.

Wtedy szpiclów nie brakowało. Podczas wojny nosili niemiecki płaszcz, a po wojnie przetrzucili się na rosyjskie. To był ich sposób na przetrwanie. Nam nie mieściło się to w głowach. Pamiętam, jak pracowaliśmy w polu i dojrzeliliśmy niemiecki samochód jadący pod nasz dom. Każdy zamarł. Zobaczyliśmy, jak wyprowadzają mamę przed dom. Klękaliśmy na ziemi i zapłakani modliliśmy się, żeby jej nie zabili. Prowadzili ją do szajerka. Bogu dzięki, że przyjechali tylko po jedzenie, wybrali sobie kury, kaczki i jajka i odjechali. Sąsiadów zabijano na naszych oczach, bardzo często ginął ktoś, kogo znaliśmy. Wieś zaczęła pustoszeć. Tata często pomagał partyzantom. Raz w okolicy źle wylądowali spadochroniarze. Tata dał im jeść, wytłumaczył, gdzie patrolują niemieckie wojska. Mógł za to zginąć, zawsze jednak udawało się przeżyć, cud, że nikt na nas o to nie doniósł. Wojnę przeżyliśmy wszyscy. Ale co to było potem za życie...

** Fragmenty tekstu zaznaczone kursywą, i dotyczące historii Skrwilna, zostały zaczerpnięte ze strony internetowej gminy*

Wspomnienia sygnowane datą 8 maj 2014 rok.
Tekst autorstwa Joanny Dubielskiej.

Wspomnienia i tekst autorstwa Joanny Dubielskiej znaleziono na stronie
Instytutu Mediów, Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej
Wydziału Nauk Społecznych
Uniwersytetu Gdańskiego
ul. Bażyńskiego 4, 80 – 309 Gdańsk



CIĄG DALSZY NASTĄPI

Bezpośredni link do wspomnień:
<http://www.cdn.ug.edu.pl/11817/wojna-puka-nam-do-drzwi/>